

Ciepłownictwo w gorsecie norm

► SZYKUJMY SWETRY I PIERZYNY ► TEMPERATURY „DYŻURNE” — 5 STOP. C ► ZA MAŁO CIEPŁA DLA BIAŁEGOSTOKU

INFORMACJA WŁASNA

Zimą tego roku będą raczej obowiązywały przy chodzeniu w mieszkaniach... ciepło swetry. Niedostatek węgla nie pozwolił nam na ogrzewanie lokali powyżej 18 stop. C, czyli zgodnie z wytycznymi Głównego Inspektoratu Energetyki Ciepłej. Nie spodziewamy się również płynącego z kranów ukropu. Temperatura wody, jak nakazuje centralnie obowiązujące normy, ma być przeciętnie o 10 stop. C. niższa, niż poprzedniej zimy.

Dość kłopotliwą nowością dla odbiorców energii ciepłej, takich jak przedsiębiorstwa, szkoły i instytucje, będzie obowiązek przykrywania kurka z ciepłem w czasie dni wolnych od pracy, czy zajęć. Decyzja rządu mówi o temperaturze „dyżurnej” wynoszącej 5 stop. C.

W zakładach pracy, w których istnieją służby głównego energetyka — przewiduje zastępca dyrektora do spraw technicznych Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej w Białymstoku, Józef Zdunik — takie ograniczenie poboru ciepła nie sprawi prawdopodobnie kłopotów. Są fachowcy, którzy potrafia przykrywać zawory ciągów instalacji centralnego ogrzewania. Gorzej będzie w instytucjach, biurach i szkołach; trzeba szukać odpowiedniego fachowca. Najlepiej już dzisiaj rozstrzygnąć te sprawy. Inspektorzy Ogrzewania i Energetyki Gospodarki Energetycznej, jak też przedstawiciele WPEC-ów, będą bezwzględnie karać tych, którzy nie zastosują się do nowych wymogów.

Oszczędność będzie obowiązywała szczególnie w Białymstoku. Tu bowiem przewiduje się najwyższy w regionie, bo sięgający 30 proc. deficyt ciepła. Rozmiary budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego wyprzedzają ciagle od dawna do użytku nowych źródeł energii. Obecnie rozbudowuje się elektrociepłownię II oraz buduje się ciepłownię „Zachód”. Z tej ostat-

Ciąg dalszy na str. 2

Przed „Dniem Energetyka”

W minionych 40 latach polska energetyka przeszła długą drogę rozwoju. Startowali praktycznie z punktu zerowego. W całym 1945 r. produkcja energii elektrycznej wynosiła tyle, ile dziś dostarcza się jej w ciągu dwóch tygodni. Od tamtej pory łączna moc elektrowni zwiększyła się do blisko 29 tys. MW, a ich roczna produkcja wzrosła do ok. 135 mld kWh. Prąd przesyłany jest do odbiorców liniami różnych napięć o długości ponad 600 tys. km.

5 bm., przed „Dniem Energetyka”, w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki odbyło się spotkanie kierownictwa resortu ze 100-osobową grupą najbardziej zaawansowanych, wieloletnich pracowników elektrowni, elektrociepłowni, biogazowni i ciepłowni, by wypracować programy rozwoju energetyki.

Wyrażając się pracownikom zakładów energetycznych o: „Gazeta Współczesna” w ramach konkursu „50 lat polskiej energetyki” w 1985 roku. Nagrody w wysokości 100 zł i 50 zł. Zdjęcia: J. Zdzienicka

Fot. — ZDZISŁAW ZAREMBA

„Gazeta Współczesna” rozmawia z dyrektorem Festiwalu — JERZYM MARTYSIEM

Korespondencja własna z Gdańska

W Gdańsku dobiegają końca przygotowania związane z organizacją jubileuszowego X Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, który w tym roku ma oprawę szczególną, łącząc się bowiem z obchodami jubileuszu polskiej kinematografii. Uroczyste otwarcie imprezy — która już dziś budzi nie tylko na Wybrzeżu, powszechne zainteresowanie — nastąpi 9 września.

„GW”: Czy ulega zmianie formula organizacyjna tegorocznego Festiwalu?

— Zasadniczo nie. Zwiększyła się tylko — o jedną — ilość nagród indywidualnych; będzie ich w tym roku jedenaście.

„GW”: Zatem filmy fabularne, kinowe prezentowane będą obok telewizyjnych i podlegać będą tym samym kryteriom oceny?

— Tu formula zmienia się. Festiwal jest prezentacją do robku kinematografii polskiej w zakresie filmów fabularnych, wyprodukowanych dla potrzeb kin jak również i telewizji. Wobec tego i w formule festiwalowej nie stosujemy podziału na filmy telewizyjne i kinowe.

W sekcji konkursowej zaprezentuje się 33 filmy, w sekcji informacyjnej 10. W pokazach konkursowych nie

Przydział mieszkań i gospodarka wolnymi lokalami znajduje się więc w centrum społecznego zainteresowania. Mieszkania są też niemalże głównym tematem zebrań konsultacyjnych kandydatów na posłów z wyborcami. Postuluje się zwiększenie frontu inwestycyjnego, wtyka nieprawidłowości i zaniedbania, żąda przestrzegania zasad sprawiedliwości społecznej.

Potrzebna, pożyteczna okazała się zatem przeprowadzona z inicjatywą KC PZPR społeczna kontrola zasadności przydziału mieszkań na bieżący rok. Była to — jak stwierdza się w biuletynie Delegatury NIK, a o czym mogłem się sam przekonać — niezwykle wielka, odpowiedzialna i trudna praca. W przeglądzie, który objął 15 urzędów i 18 spółdzielni, wzięło udział 530 osób, w tym około 300 kontrolerów Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. W ciągu kilku tygodni lipca i sierpnia wglębiano się w stosy dokumentacji oraz wizyto-

wano kilkadziesiąt rodzin ubiegających się o mieszkania. Materiał pokontrolny jest tak obszerny, że można by wykreślić z niego kilka artykułów. Ponieważ relacjonowaliśmy przebieg lustracji w kilku wydziałach spraw lokalowych i w spółdzielniach mieszkaniowych, a więc żeby nie powtarzać opisanych już przypadków, zwróciliśmy uwagę na wspólne wszystkim kontrolom spostrzeżenia i ustalenia.

BRAK ROZEZNANIA — WĄTPLIWE DECYZJE
Otóż jak mogłem przekonać się towarzysząc społecznej kontroli, a co stwierdza ona w pokontrolnych protokołach, tak w urzędach jak i w spółdzielniach, brak jest dokładnego rozeznania sytuacji mieszkaniowej. Owszem prowadzi się dokumentację, ale za często jest ona nieaktualna i niekompletna, więc tak naprawdę nikt nie orientuje się w rzeczywistych potrzebach oraz w tym, ile są one

pilne i w jakim stopniu możliwe do zaspokojenia. Powody tej niewiedzy są różne: jedną z nich jest brak społecznych komisji mieszkaniowych bądź ich szczupłość kadrowa, uniemożliwiająca przeprowadzenie wnikliwych badań stanu faktycznego. Stąd też później podejmowane są nie zawsze słuszne decyzje. Na przykład w UMIG w Goldapi, gdzie działają bezprawnie (bez członków społecznej komisji) doradcy zespołu do podziału mieszkań, Inspekcja Robotniczo-Chłopska zakwestionowała zasadność 9 z 11 decyzji dotyczących przydziału.

W ogóle, inspektorzy społeczni stwierdzili, że w wielu kontrolowanych urzędach miejskich i miejsko-gminnych nie przestrzegano się rozporządzenia Rady Ministrów z marca 1981 roku w sprawie zasad i trybu przydziału lokali mieszkaniowych. I tak, w Kolnie nie dokumentowano badania warunków mieszkaniowych, a w gajewskim u-

rodzie nie prowadzono bieżącej rejestracji wniosków o mieszkania; nie było rozeznania, ile do ilości uzyskiwanych mieszkań i nie sporządzano listy przydziału.

W rezultacie takiego „rozeznania” na listach przydziału znalazły się w Łomży i Kolnie osoby posiadające dość dobre warunki mieszkaniowe, znacznie lepsze od ludzi, którym podania zostały negatywne załatwienie. Naturalnie — po wizji lokalnej — inspektorzy zalecili ponowne rozpatrzenie listy przydziału.

Podobne zaniedbania i niedociągnięcia wykazywały kontrole w urzędach: Łapy, Supraśl, Hajnówka, Sokółka. Min. w Hajnówce na liście przydziału podano cztery osoby, a przydzielono 3 mieszkań, a ponadto w stosunku do trzech osób nie wypowiedziała się społeczna komisja mieszkaniowa.

Tak więc, chociaż urzędy — ze względu na szczupłość zasobów — nie prowadzą tak dużej jak spółdzielczość działalności w sferze mieszkaniowej, tym niemniej z powyższych faktów widać, że jest wiele do usprawnienia. Właściwe rozeznanie potrzeb, orzeczenie kryteriów prawnych, dbałość o posiadane mieszkania, jak też dążenie do

Ciąg dalszy na str. 3



Z pani Justyny to szły panna — kokietuje drużba Jaśmont. Rzecz dzieje się w Koźlikach koło Zabłudowa zamienionych przez choreografów na Bohatrowice, gdzie reżyser Zbigniew Kuźmiński realizował sceny z wesela do filmu „Nad Niemnem”, a fotografował je dla „GW” Anatol Chomicz. Statystowała niemalże cała wieś. Na zdjęciu: Iwona Pawlak odgrywająca postać Justyny Orzełskiej i Franciszek Utko w jednej ze scen filmu. Relację z planu zamieszczamy na str. 6.

Obywatelskie spotkania konsultacyjne

Mała sala, wielkie sprawy

INFORMACJA WŁASNA
obesz na szklanych ekranach miast. Jan Iglicki nie zrobił uniku. Stwierdził, posługując się przykładem z macierzystych „Fast”, iż pieniądze niezbędne na zabezpieczenie środowiska przed niszczącymi skutkami przemysłu — winny wygospodarować poszczególne przedsiębiorstwa. „Nikomu nie może opłacać się zatrutowanie środowiska. Jeśli kary są za niskie, trzeba je podnieść”.

Ciąg dalszy na str. 3

Plenum WK ZSL w Suwałkach

Wyrosłe z tradycji zawsze żywych

INFORMACJA WŁASNA
Pod hasłem „90 lat walki i pracy” obradowała wczoraj, 5 bm. Plenum Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w SUWALKACH, poświęcone głównie 90 — rocznicy politycznego ruchu ludowego na ziemiach polskich.

W posiedzeniu, któremu przewodniczył wiceprezes WK ZSL — Edward Dziągiewski, wzięli udział m.in. przewodniczący RW PRON — Henryk Kulczyński, wiceprzewodniczący WRN — Zygmunt Cieluch, wicewojewoda Stefan Lenkowski, przedstawiciel NK ZSL, doradca prezesa Naczelnego Komitetu Stronnictwa — Czesław Śledziński oraz grupa zasłużonych nestorów ruchu ludowego z całego województwa. Wyróżniono ich wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Ciąg dalszy na str. 2

Warzywa i owoce na zagraniczne rynki

Krajowa produkcja ogrodnictwa w ostatnich latach osiągnęła wysoki poziom. Na rynku, niemal przez cały rok, pod dostatkiem jest warzyw i owoców. Dalszy rozwój tego działu gospodarki żywotnościowej — stwierdzono 5 bm. w Warszawie na plenarnym posiedzeniu Rady Centrali Społdzielni Ogrodniczych i Pszczelarskich — będzie zależał od eksportu zarówno świeżych, jak i przetworzonych ogrodnictwa. Zakończono w tym celu wyjazd do województwa i pszczelarstwa, za

pośrednictwem przedsiębiorstwa „Hortex” sprzedawała za granicę prawie 324 tys. ton produktów, w tym 48 tys. ton warzyw, 123 tys. ton owoców i 125 tys. ton przetworów owocowo-warzanych. Ważną pozycję w eksporcie stanowiły również mrożonki oraz kwiaty. W tym roku planuje się zwiększyć wywóz płodów ogrodnictwa o ponad 70 tys. ton w porównaniu z ub. r., a do 1990 roku o dalsze 300 tys. ton. Istnieje możliwość zwiększenia eksportu zwłaszcza jabłek, kalafiorów, mrożonek, koncentratu jabłkowego oraz kwiatów i pieczarek. Głównie

Ciąg dalszy na str. 2

JUTRO — miejscami przelotne deszcze, temperatura bez większych zmian.

PROGNOZA POGODY
na okres od 8 do 11 września 1985 r.

Dość chłodno, zachmurzenie duże z rozproszonymi, okresami opadów. Temperatura maks. 12-20 stop. C., min. 8-10 stop. C. Wiatr umiarkowany, okresami silny, z kierunków północnych.

Dziś intensywny — Beaty, Eugeniusza, Petroniusza. (tł)

Zakończenie kolokwium UNICEF

5 bm. zakończyło się w Warszawie międzynarodowe kolokwium UNICEF zatytułowane „Dzieci nade wszystko”, które, co należy podkreślić, obradowało w roku 40-lecia ONZ. Ostatni dzień poświęcony był omówieniu stanu opracowywanym projektem „Konwencji praw dziecka”.

Aktualną sytuację w tym zakresie przedstawił przewodniczący grupy roboczej opracowującej projekt — prof. Adam Łopatka. Konwencja — jak stwierdził — ma być uniwersalnym międzynarodowym instrumentem popierającym ochronę praw dzieci, a więc istotą narzucającą na szczególne trudności i niebezpieczeństwa, mających szczególne potrzeby. Ma być uniwersalnym, szczegółowym standardem, którego realizację powinny starać się zapewnić wszystkie

Ciąg dalszy na str. 2

Polsko-radziecka współpraca turystyczna

Na zaproszenie Państwowego Komitetu ZSRR ds. Turystyki Zagranicznej przebywała w Moskwie delegacja Głównego Komitetu Turystyki. W toku rozmów poruszono zagadnienia wdrażające się z realizacją bieżącej współpracy turystycznej i planami perspektywicznymi, jak też wspólnymi działaniami w międzynarodowych organizacjach turystycznych.

Zawarto porozumienie o rozwoju współpracy w dziedzinie turystyki w latach 1986-1990.

Porozumienie przewiduje systematyczny wzrost wzajemnej wymiany turystycznej. Tak np. wyjazdy polskich turystów do ZSRR zwiększa się z 40 tys. osób w 1986 roku do 100 tys. w roku 1990. Szczególną uwagę będzie się zwracać na rozwijanie wymiany turystycznej i organizowanej przez towarzyszące przyjaźni (TPPR i TPRP), wymianie między miastami, województwami i rejonami, przedsiębiorstwami i organizacjami społecznymi utrzymującymi stałe przyjacielskie kontakty i więzi współpracy. (PAP)

Ciąg dalszy na str. 3

Plenum WK ZSL w Suwałkach

Wyrosłe z tradycji zawsze żywych

INFORMACJA WŁASNA

Pod hasłem „90 lat walki i pracy” obradowała wczoraj, 5 bm. Plenum Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w SUWALKACH, poświęcone głównie 90 — rocznicy politycznego ruchu ludowego na ziemiach polskich.

W posiedzeniu, któremu przewodniczył wiceprezes WK ZSL — Edward Dziągiewski, wzięli udział m.in. przewodniczący RW PRON — Henryk Kulczyński, wiceprzewodniczący WRN — Zygmunt Cieluch, wicewojewoda Stefan Lenkowski, przedstawiciel NK ZSL, doradca prezesa Naczelnego Komitetu Stronnictwa — Czesław Śledziński oraz grupa zasłużonych nestorów ruchu ludowego z całego województwa. Wyróżniono ich wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Ciąg dalszy na str. 2

Warzywa i owoce na zagraniczne rynki

Krajowa produkcja ogrodnictwa w ostatnich latach osiągnęła wysoki poziom. Na rynku, niemal przez cały rok, pod dostatkiem jest warzyw i owoców. Dalszy rozwój tego działu gospodarki żywotnościowej — stwierdzono 5 bm. w Warszawie na plenarnym posiedzeniu Rady Centrali Społdzielni Ogrodniczych i Pszczelarskich — będzie zależał od eksportu zarówno świeżych, jak i przetworzonych ogrodnictwa. Zakończono w tym celu wyjazd do województwa i pszczelarstwa, za

pośrednictwem przedsiębiorstwa „Hortex” sprzedawała za granicę prawie 324 tys. ton produktów, w tym 48 tys. ton warzyw, 123 tys. ton owoców i 125 tys. ton przetworów owocowo-warzanych. Ważną pozycję w eksporcie stanowiły również mrożonki oraz kwiaty. W tym roku planuje się zwiększyć wywóz płodów ogrodnictwa o ponad 70 tys. ton w porównaniu z ub. r., a do 1990 roku o dalsze 300 tys. ton. Istnieje możliwość zwiększenia eksportu zwłaszcza jabłek, kalafiorów, mrożonek, koncentratu jabłkowego oraz kwiatów i pieczarek. Głównie

Ciąg dalszy na str. 2

JUTRO — miejscami przelotne deszcze, temperatura bez większych zmian.

PROGNOZA POGODY
na okres od 8 do 11 września 1985 r.

Dość chłodno, zachmurzenie duże z rozproszonymi, okresami opadów. Temperatura maks. 12-20 stop. C., min. 8-10 stop. C. Wiatr umiarkowany, okresami silny, z kierunków północnych.

Dziś intensywny — Beaty, Eugeniusza, Petroniusza. (tł)

Dziś intensywny — Beaty, Eugeniusza, Petroniusza. (tł)

Dziś intensywny — Beaty, Eugeniusza, Petroniusza. (tł)

Ciąg dalszy na str. 2

Lista przebojów

(Ag)

PRZED DROGĄ NAJDALSZĄ Sto lat⁽⁴⁾ i dłużej

Wór dobytku na nic!

Nie zdążyli domu otynkować, ale i tak w krajobrazie wsi Dąbrowa Łazy, w gm. Czyżew, robi wrażenie kolo-
zalne. Jakby kilka willi razem zlepiło. Również, co porządnie prezentują się stojące wokół podwórza zabudowania gospodarcze — ani śladu nieporządku. Kobieta, wychylająca się zza drzwi na obcy głos, kieruje na piętro. Po drewnianych, jasno-
temnych schodach w górę; potem parkietem holu, w-
drujemy sami. Nikt nie pro-
wadzi, nie prosi, drzwi od-
powiednich nie wskazuje.
Jakby gospodarza brakło.



102-letnia Stefania Łojewska: Wasze zdrowie, Kochani...

W ykorzystujemy to, by za-
jechać do mijanych
pokoi. Wszędzie ład,
żeby nie powiedzieć: kom-
fort. 105-letnia Władysława
Dołęgowska, najstarsza mie-
szkanke Ziemi Łomżyńskiej,
spodziewamy się zastać w
łóżku, ale ona stoi przy ol-
tarku, zaszeptana w in-
trymnej rozmowie. Przyja-
wiał się kwiaty, upominek, jak-
by jej nie przerywała: —
Syn miesiąc temu umarł. A
ja żyję. Jednego miałam.
Teraz jestem gorsza chora.
Na nogi jeszcze łażę, najgo-
rzej na oko: powiedzieli, że
jak się nie zagoi — wyjma.
60 років bez dwóch miał.
Przychodził po dzienniku, po-
wiada, co nagadali. Zdaje
się zdrowy, a rano już nie
żył. Teraz jestem jak sierota.
Dom postawił piękny i po-
szedł.

Nie pamięta, jak wycho-
dziła za mąż. Ile ma lat?
Nie wie. Gdy mówi, głowa
drga nierównomiernie, oczy
izawia: — Widzę was, ale
takie rozmazane jesteście.
Nic bym nie szkodziła ży-
cia. Prawnuki? Chyba mam.
To już prawnuki, nie? — za-
stanawia się, że wzrokiem
skierowanym na dwu sie-
dzących w rogu wersalki
chłopców.

— Ile ja się natrącałam!
Toż dwie wojny było. Po-
wiedziała taki główny Nie-
mieć: „Kto kupi gęś, jest
wolny”. Całą klatkę wzię-
łam. Potem powiadają, żeby
po konie iść. A za dzień ze
Świątką przylatują, że to
ich i ksiądz dał papier, żeby
oddać. Oddało się.

Siedzi w tym przestron-
nym pokoju, z rzędnymi na
suficie, opowiada. Fajnie
jest wokół: niejedną by po-
zaczęła: parkietów, i alu-
minowych grzejników cen-
tralnego. Cacka. I jednocześnie
nie jakoś pusto. Czemu? Ze
nikt z domowników nie to-
warzyszy jej przy gościach,
choć twarze migają w tle.

— Rencję dostaje, teraz
podwyższyli. Staremu żeby
wór złota dać, na nic mu.
Kiedys obce ludzie byli, to
się robota gotowała w domu.
Józika takiego pamiętam.
Bumstrz go zabrał, oj, żal
mi było go — postarzał się
potem.

Syna miałam, 3 czy 4
córki. Zaraz: Janina, Lucy-
na, Regina, Jadwiga — cze-
tery. Teraz synowa tu i
wnuczka, z dziećmi. Razem
nas 7 osób mieszka. Syn
przed śmiercią moją wnuczkę
zrobił dziedziczką. Ze 24
hektary tego będzie. Teraz
obcych nie ma. Był chlo-
pak, ale się nie przydał, bo
na umysł słaby. Wnuczek
też słabego zdrowia, i zięć,
i jak to będzie? Teraz każ-
dy do miasta leci. Mówili
w telewizji, że całymi gro-
madami gonia. To chyba
nieprawda! Już idziecie?
Ale jakiś poczustek, choć
herbata się należy...

Nasza Babunia

Kuchnia jest obszerna,
przytulna. Na czymś w ro-
dzaju przypiecku siedzi sta-
rza kobieta i — beztrosko
majtając nogami — ogląda
telewizję.

— My do pani Stefani
Łojewskiej! — wrzeszczy z
rozpędu jedna z osób wizi-
tujących.

— Jestem przecież — spo-
kojnie prezentuje się sie-
dząca. Zaskoczenie jest ab-
solutne. 60—70 lat można
jej po znajomości dać, ale
102?

Już przycupnąwszy na
brzegu wersalki pani Stefa-
nia opowiada: — Szczupła
byłam kiedyś, ładna. Nie to,
co teraz: dzień przechodzi
i gnie do ziemi. Kawalerów
miałam do wyboru i nie
było jakich! Może też trochę
dlatego, że dziedziczką by-
łam. Tzn. obiecała miałam
po zamążpójściu ojcowiznę.
gospodarkę, gdzie i teraz
żyję. Jak męża wybrałam?
Wrócił akurat ze Stanów i
widać był mi pisaný, bo nie
grymasiał już. Dwie cór-
ki mi tylko zostało, a 12 razy
rodziłam. Dużo umarło. Albo

zaraz na początku, albo
potem. Lekarzy kiedyś ta-
kich jak teraz nie było, i
leków. Rodziło się w domu.
Kobieta jedna odbierała.

— Może ja opowiem —
wtrąca córka Stefani Ło-
jewskiej, Zofia — bo mamie
z długim mówieniem sił u-
bývá, a chciałabym, żeby
jak najwięcej zostało... Wio-
sna miała falowane, śliczne.
Jeszcze i dziś, jak umyję,
rzucę na plecy, białe co
prawda, ale fala przy falli
się kładzie. Przez całe życie
ciężko pracowała. Gdy ojciec
umarł, dawno już, zostało
nas trzy kobiety na gospo-
darstwie. Naprawdę było
gdzie ręce włożyć. W czym
tkwi tajemnica, że jedni ży-
ją dłużej, drudzy krócej? —
Nie w jedzeniu rzecz, ani w
budowie fizycznej. Charak-
ter ważny: zmartwienie
zmartwienie, a robota mu-
si być zrobiona na bieżąco.
Nie oglądać się, nie ciągnąć
za sobą utrapień.

Mama jest u nas zawsze
na pierwszym planie. Z go-
ści mi usiadzie przy stole, sy-
mbolizny kieliszek wychyli,
gdy trzeba — doradzi, uta-
godzi; jemy obiad — naj-
pierw dla niej wszystko! Na-
wet wnusia, jak łakocie ma
— od Babuni zaczyna czę-
stowanie. Człowiek musi czuć
się potrzebny. Nie, żeby ino
zjeść było co, bo jeść i w
oborze dają...

— Ile lat żyjemy razem, od
53 roku, ani razu z zięciem
się nie przemówili; nie to,
żeby się kłócić — wtrąca
Babunia i uśmiecha się.

— Faktycznie — potwier-
dza córka. — Zresztą i mnie
synowa się udała. Nawet
drobnej zmiany nie było, jak
nowy członek rodziny przy-
był. Teraz jest nam, kobie-
tom, dobrze: do cięższej ro-
boty chłopcy są. Wstajemy
rano — krowy już wydojo-
ne, co trudniejsze zrobione.

Znając wiejskie realia,
przebiegane w swary o pięć
ziemi między bliskimi krew-
niakami, człowiek przygląda
się rodzinie Stefani Łojew-
skiej, mieszkającej w ma-
łej wiosce Dusze w gm. Ra-
dziszów, z niedowierzaniem.
Trzy, a nawet cztery poka-
lenia pod jednym dachem i
obywa się bez polityczek, za-
wiści, walki o autorytet i
groziwo? Może idealizują sie-
bie? Nie jednak o tym nie
świadczą. W czasie kilkugo-
dzinnej wizyty nie pada ani
jedno słowo, gest, mimowol-
nie zdradzający podskórne
zniecierpliwienie, fałsz. W
domu tochnie dostatkami, ale
prawie wyczuwalna jest też
wzajemna życzliwość, zrozu-
mienie, tolerancja.

— Kto jest najważniejszy,
kto rządzi w gospodarstwie?
— zastanawia się pani Zofia.
— Nie wiem. Naprawdę, nie
wiem. Ila syna zapisanych
jest 10 ha, na mojego męża
— 15. Mama miała gospodar-
stwo, to o rentach jeszcze
się nie mówiło. W czasie
uwłaszczenia chodziła pani,
żeby mama wszystkiego nie
przekazywała, żeby chociaż
cokolwiek sobie zostawiła. 2
tygodnie dawała na zwłokę,
a mama powiedziała po pro-
stu: „Ja ich przecież lepiej
znam”. I wszystko na zie-
cia (!) przepisała.

Gospodarujemy razem. Pie-
niądze też są wspólne. A jak
inaczej? Jedzie który spra-
wy załatwić — bierze, ile
trzeba. Zboże się sprzedaje,
świnia — wkłada się do
wspólnej „kasy”. Nie ma:
twoje — moje. Czasem wnu-
ki przyjeżdżają, zostają u
nas. Terenia mnie kiedyś za-
pytała: Zostaniesz z Ewu-
nią? — Nigdy mnie o to
nie pytał — powiedziałam —
bo ja tylko dług spłacam wo-
bec swojej Mamie. Przecież
Babunia moje dzieci chowa-
ła, nie ja. Ja nie wiedzia-
łam, co to czuć w nocy
przy dziecku. Mam teraz
powiedzieć, że chce dużo
pospacerować, gdy moja pomoc
potrzebna?

Młodzi, choć dopiero nie-
dawno po ślubie, przymierza-
ją się do stawiania nowego
domu. Jaki będzie? Wspólny!
Mieliśmy zostać sami...
Tekst i fot.
NINA OMELCZENKO

Dlaczego nie mogłam się
zdecydować i odkładałam te
eskapede ze środy na środę?
Przecież wierzyłam panu
Fredkowi. Zwiastował, że za-
miast o swoim zespole, o gra-
niu, opowiadał o ludziach,
których coś tu gna. „A jak
już przyjdą, to młodnieją w
oczach i kiedy składamy in-
strumenty pytają, czy na
pewno za dwa tygodnie znów
się spotkamy...”

Dookoła promienne twarze.
Uśmiechy szczerze, otwarte,
ujawniające pogodę ducha. W
rozmowach, żartach, gestach
— coś z dawnej szarmancji i
eleganckich manier. Jeżeli
komplementy — to nie wy-
muszone; jeżeli grzeczność —
to odruchy autentycznej życz-
liwości.

Gdzie jestem?! — Czy to
prawda, że taka atmosfera
może nagle zapanować w du-
bawie. Dyskretnie obserwuję
pary tańczących. Tu napraw-
dę nie liczy się nic, prócz
pogodnych twarzy. Jest w
nich wszystko. „Może nawet



Tu nie można się czuć samotnie

— Spotkania w „Kregu” na
Wierzbowej — to nie tylko
sam taniec. To psychoterapia.
Trochę wiosny jesienia...

— Zawsze lubiłam tańczyć.
Mąż także. Ale dziś — w
którym lokalu białostockim
czuliśmy się lepiej? Jeste-
my wdzięczni znajomym, że
nas namówili. Po tutejszym
wieczorze czujemy się jak po
sanatoryjnym zabiegu. A mo-
że i lepiej...

— Związkowa „Fama” za-
początkowała kiedyś wieczo-
ry towarzysko-taneczne dla
seniorów. Potem MDK z „Ku-
rierem” zapraszały na bale sa-
motnych. Powodzenie tych
impres sugerowało organizo-
wanie ich w możliwie sta-
łych terminach: co druga
środa. Chwyciło. Są stali by-
walcy. Zgłaszają się po bilety
na kilka godzin przed balem.
Inni zjawiają się sporadycz-
nie. Zaś ci, co po raz pierw-
szy, zapewniają, że nie ostat-
nie. Ważne, że czują się do-
brze. I to cieszy najbardziej,
jak gospodarzy każdego domu.

TROCHE WIOSNY JESIENIA...

żym, dwuosobowym gronie
ludzi, w sile wieku? Zesli
się z różnych zakątków mia-
sta, środowisk — tylko dla-
tego, że jest im dobrze ze
sobą właśnie tutaj!

K lub Rozrywki. Inaczej —
Tanieczny Krag. Zawsze
miałam, że tylko ma-
łe, przytulne wnętrza mogą
stworzyć nastrój intymności
i ciepła. Stąd zdumienie za-
pełniło ogromne sale „Kregu”
w każdym miejscu zniewalają
swojskością. Ba! Są wręcz
zaczyszne! Dyskretny urok re-
tro?

— Chyba tak. Bawimy się
tu podobnie jak przed trzy-
dziestu laty, albo i jeszcze
wcześniej. A więc — w daw-
nym stylu.

— Tu się tańczy tak jak
lubię — bez tłoku i wrzasku.
Za to z bardzo sympatyczną
orkiestrą. Potrafi dogodzić
nam wszystkim. Niepotrzebnie
wodzić. Panowie sami grają.
Śpiewają, zabawiają doćmiem
w dobrym guście, raczą kom-
plementem. Taki zespół wcia-
ga na parkiet każdego. Jak
nie przy „Śliwym włosie” czy
„Kasztanach”, to przy „Ka-
czuszkach” czy najnowszych
„Chalupach”...

Na specjalne życzenie —
po raz drugi: „Daj mi te
noc”... Stolik pustoszeje. Pan
Józek do mikrofonu: — „Pro-
szę państwa, refren śpiewa-
my wszyscy!” Często „parkiet”
śpiewa bez zaproszenia. Tań-
czący tworzą lokalne kółka,
wymieniają partnerów. Ule-
gam nastrojowi wspólnej za-
mieszki.

szczęście. — Warto je ho-
bić choćby przez pięć godzin
wyrwanych z codzienności,
na pewno nie różowej.

— Tu się proszę pani, nie
mówi o kłopotach. Nie liczy
nikomu lat, siwych włosów,
czy zmarszczek. Nie pokazuje
się recept, nie rozprawia o
chorobach i lekarzach. O pa-
nach, z racji wieku wiadomo,
że wyszli z zakretu historii.
Ale tu nie snują wspomnień
z wojennych przeżyć, choć u
niejednego ślady frontowego
ognia są widoczne.

— Ułomności fizyczne, to
tak jak upływ lat. Jeśli zbyt-
nie nie przeszkadzają, są
mniej istotne od ułomności
ducha, psychiki, a więc — od
ustawienia się do życia.



Jak za dawnych lat...

PLENER

Co jest potrzebne plastynom do uprawiania zawodu? Z
pewnością warsztat pracy z narzędziami i materiałami, be-
choć to zawód twórcy, to charakterem zbliżony jest do
rzemiosła. Niestety, tylko około 20 proc. plastyków w kra-
ju posiada własne pracownie; są kłopoty, że wspomnianymi
materiałami i nie tylko. Toteż sytuacji tej próbuje się choć-
by doraźnie zaradzić. Czy plener może być panaceum
na bolączki artystów?

Z tego co widziałam w
Hajnówce tuż przed za-
kończeniem XI OGÓL-
NOPOLSKIEGO PLENERU
MEBLARSKIEGO oraz z wy-
powiedzi plastyków wynika,

się tematem tegorocznego ple-
neru w takim wymiarze, jaki
mu dyktuje własna wyobraź-
nia i doświadczenie. Jak wi-
dzi meble, sprzęty zabawowe
i urządzenia sportowe dla

Stół z powyłamywanymi nogami

że jest to jeden ze sposobów
rozwiązania problemów natu-
ry czysto ekonomicznej. Lecz
nie tylko. Chodzi wszakże o
realizację projektów wynika-
jących z potrzeb społecznych
oraz o osobista satysfakcję z
efektów wysiłku twórczego. W
tym miejscu należałoby po-
stawić kropkę gdyż kiedy
i jak będą owe projekty
realizowane — to już zupełnie
odrębna sprawa.

PLASTYK I MISTRZ

MAURYCJ STRYJECKI —
plastyk z Warszawy przejał

przedskolki? — Muszą być
proste i funkcjonalne. To
oczywiste. Ale jednocześnie
powinny inspirować do zaba-
wy i twórczości artystycznej.
Oto drewniane ramki z u-
chwyłkami, drążki, dwa typy
łaczniaków. Jeszcze kurtyzny
i materace. Składa się to po-
tem w przestrzenie teatralne
dla maluchów i starszaków
lub po prostu w miejsca,
gdzie można odpocząć i spo-
kójnie się bawić. Dla teatru-
ku o nazwie „DZYN” plastyk
przygotował instrumenty:
brzaskadko i grzmotnik, a do
zabawy — niewielki stół. Jest

gdzie goście lubią przychodzić
nie dla samego stołu.

— Myliłam się sądząc, że
latem nasza konkurencja be-
dzie duża czy park — uzu-
pełnia wypowiedź p. Zygmun-
ta, szefa Klubu, pani Barbara,
instruktorka pracy kulturalno-
wychowawczej. — Ani burza,
ani upał, ani podwyżka cen
biletów nie przeszkodziły
sympatykom naszych bali
Lubie obserwować młodzież
podczas dyskoteki, ale bale
seniorów podobają mi się bar-
dziej. Inny styl. Inny wdźwięk.
Tak wiele spontaniczności! I
chyba pogody więcej niż u
młodych.

— Pani Fredku, czy to
wasa uśmiechnięta orkiestra
daje przykład tańczącym? Bo
aparatura dyskotekowa raczej
nie zdradza swych uczuć. A
wy — wciąż w kontakcie z
parkietem...

— My się po prostu cieszy-
my, że nas sala lubi i chwali.
Myszę, że to nie są tylko po-
chlebstwa.

— Jesteście amatorskim ze-
spółem muzycznym hobby-
stów?

— Tak. I pewnie dlatego
tak dobrze rozumiemy tych,
dla których gramy i śpiewa-
my.

AGNIESZKA ŚWIDZIŃSKA
Fot. ZDZISŁAW ZAREMBA

Gdzie jest świat marzeń i fantazji

„Wszystkie dzieci są poeta-
mi” — powiedział Jean Co-
cteau, książę francuskich po-
etów. Miał rację. Wszystkie
dzieci są też twórcami, bo pa-
trzą na świat okiem nie ob-
ciążonym schematami i ma-
nierzami, słuchają dźwięków
bez zbędnych skojarzeń, opo-
wiada, słuchając jedynie
swej fantazji i marzeń.

Ale czy my o tym pami-
tamy? Czy wychodzimy na
przeciw uzdolnieniom dzie-
ci? Czy nasze dzieci mają
pełne możliwości, by rozwini-
ć i ukształtować, a nieza-
trwalić na całe życie swój
kontakt z twórczością ar-
tystyczną?

S tatystyka jest raczej u-
spokajająca: — mamy
aktualnie 339 szkół i
tętycznych pierwszego i dru-
giego stopnia kształcących
rocznie przeciętnie ok. 300 tys.
dzieci we wszystkich ar-
tystycznych kierunkach, z cy-
frową sztuką włącznie, w
1300 społecznych ognisk ar-
tystycznych — głównie muzy-
cznych i plastycznych — uce-
snych na ponad 62 tys. maluchów.
A więc w czym problem?
Otoż, gdy spojrzymy z ko-
ła na mapę kraju — łatwo do-
strzeżemy, że znakomita wię-
szość tych ognisk skupia się
w dużych metropoliach kul-
turalnych. Natomiast w wie-
siołkach, zwłaszcza wie-
siołkach, na wsi — istna pusty-
nia. Białe plamy w dziedzinie
edukacji artystycznej.

Wiele zastrzeżeń budzi
kadra instruktorska — nie
zawsze i nie wszędzie dyspo-
nująca odpowiednimi kwalifi-
kacjami pedagogicznymi.
Wprowadzić Centralny Ośrodek
Metodyczny Upowszechniania
Kultury przy Ministerstwie
Kultury i Sztuki prowadzi
systematyczne szkolenie i
kontrolę przygotowania za-
wodowego kadru instruktors-
kiego, ale potrzeby w tej dzia-
linie kilkakrotnie przewyż-
szają możliwości kadrowe. Tru-
ny jeszcze problem nie mniej
dotkliwy, to zaopatrzenie tro-
ściaków w niezbędne mate-
riały, instrumenty muzyczne
itp.

TERESA
KWAŚNIEWSKA

Opery w komiksach

Opera w wersji obrazkowej? Tego jeszcze nie było, ale
będzie; prace nad popularyzowaniem wielkich dzieł muzy-
cznych trwają już nad trzema pierwszymi utworami: „Aida”
Verdiego, „Zaczarowanym fletem” Mozarta i „Carmen” Bi-
zeta.

Pomysł jest prosty, ale wykonanie nie tak łatwe. Na-
trudniejsze to podzielenie utworu na 5-minutowe odcinki
tak, aby każdy zawierał znaną arię, a następnie za-
rejestrowanie ich na płytach. Wykorzystuje się oczywiście
nagrania najlepszych solistów i zespołów orkiestrowych.
Drugi etap to praca rysowników, którzy libretta oper-
przekształcają w filmy obrazkowe tak, aby odpowiadały ko-
lejnemu sekwencjom muzycznym. Istotny element, który
to odpowiednie zgranie obu elementów, by mogły być od-
twarzane w magnetowidzie.

Film o Johnie Lennonie i Yoko Ono

Film przedstawiający życie małżeńskie Johna Lennona
i Yoko Ono nakręca sieć NBC. Trwać na on trzy godziny,
a jego akcja obejmować ma okres od 1966 r., kiedy to Len-
non spotkał po raz pierwszy Yoko Ono w londyńskiej Ga-
lerii Sztuki, do — 8 grudnia 1980 r., dnia śmierci Lennona.
Odwórcami głównych bohaterów są: 24-letni Anglik Mark
McGann, pochodzący podobnie jak odzwierciedla przez niego
bohater z Liverpoolu oraz japońsko-amerykańska aktorka
Kim Miyori. Film emitowany będzie w listopadzie w tele-
wizji USA i W. Brytanii.



Malgosia, Monika i Piotruś są wyraźnie zafascynowani
tym, co w swoim teatryku „DZYN” demonstruje projek-
tant Maurycj Stryjecki
Fot. Z. ZAREMBA

NÓWKA” a mianowicie
wspomniany ośrodek kultury
plastycznej, będzie właśnie
wykonany przez warszaw-
skie szkolne Powstała cała
zespół z przeznaczeniem dla
różnych miast.

OD SZATNI DO SYPIALNI

Opracowanie projektu
mebli dla przedszkoli ma
charakter kompleksowy. Ka-
dy z uczestników pleneru wy-
konaj jeden sprzęt będący lo-
gicznym ciągiem urządzeń,
z którymi dziecko styka się od
momentu przekroczenia progu

PANI TODZIA MA OKO...

Pani pan, co widać zza baru? Dużo widać, bardzo dużo. Kelner tego nie zobaczy, co ja. On ciagle w ruchu. Od stolika do stolika. A ja z tego miejsca mam jak na dłoni super — panoramę.

— Domyślam się co to za widoki! Przyjdzie towarzystwo, z fasonem, a wychodzi na czworaka...

— Zdarza się. Wypije pan naparstek?

— Czemu nie?

Tak sobie rozmawiam z barmanką. Ponoć królowa wszystkich barmanek w jednym z najpiękniejszych miast naszego regionu. Bedzie już ponad 25 lat jak pracuje w swoim fachu. I żadnej wpadki z PIH-em.

— Wiesz pan, najbardziej to trzeba mieć oko. Kiedyś przychodził takich dwóch, z wyglądu — kmiotki. Przybiega kelner, co go wołał? Lolus. Ze niby każdego gościa na te kilkudziesiąt złotych przekreśli. I do mnie: „Pani Todziu, leć pan dwie setki „klubowej”. W rachunku będą robić za „winiak”.

— Dla kogo?

— Dla tych dwóch wieśniaków pod oknem. Pewnie podnieśli wydaną z jednego hektara i teraz głowią, jak podnieść z drugiego. Rolnictwo nam, pani Todziu, rozwija.

— Coś mi się widzi — mówię — że chceś umoczyć. Wiesz, Lolus, skacz lepiej do nich z winiakiem.

— I miałam nosa. Kmiotki zaczęły po chwili ważyć i mierzyć. Ci z kontroli często udają takich naiwnych, żeby kelnera czy bufetową zabrać za szpaki.

Pani Todzia sprawnie po winności swą czyni. Kelnerki, co właśnie przy służbowym usiadły i rajcuje, do roboty goni.

— Słuchaj pan dalej. Razu pewnego afeta na czterdziestym piętrze. Wtedy towarzystwo, chyba z sześć osób. Niby ludzie poważni, stateczni. Jedną, piją. Spokój. Aż tu nagle wybuch. Zginęła portmonetka z dolarami. To my od razu

wszystkie drzwi na klucz i za telefon. Przyjechali niebiesko-czarni, a tu pełna sala. Jakies z sześćdziesiąt osób. Pytają, myślała, ale z tego — myślę sobie — nic nie będzie. Był z nimi jeden taki po cywilnemu. Młodzień, ale bystry. Podszedł do mnie i pyta: — Co pani powie?

— Ja panu powiem, że niech pan solidnie pogada z tymi trzema za filarem.

— Mówi pani?

— Z tym, że ja tam nic nie zauważyłam, bo ruch jak na jarmarku. Ale tak na moje wyczucie...

Portmonetka odnalazła się od razu. Leżała pod jednym stolikiem, tyle że pusta. Tych trzech poproszono na zaplecze. I dalece szybko się znalazły. Jeden z nich miał włożone do buta.

Pani Todzia ma oko. Właśnie przy stoliku zakotwiczyło dwóch takich i siedzą sobie spokojnie. Wzięli po śledziaku i dwie pięćdziesiątki. Dawka dla trampkarzy, a ci coraz bardziej weseli. Patrzy pani Todzia niby w stronę kuchni i naraż w dyrdy do tamtego stolika. I choć swój wiek i wagę posiada, migiem dopadła nieznajomych i cap za butelkę „Baltiku” w torbie. Zanim się ktoś zorientował już wylała zawartość do zlewku. Bo pani Todzia ostro walczy z tymi, którzy przynoszą podstolankę. I nie dziwna. Po to jest wódka gastronomiczna, żeby ją podawać w gastro-nomii.

— Do nas przychodzi różni — ciągnie pani Todzia. — Niekiedy na dorznięcie. Gdzieś przyprowadzi i tu kończą. Skaranie boskie z takim. Bo to i pawia nierz pości. albo mu się pomylil i zamiast do toalety idzie pod palmę.

Dawniej przychodził tu taki jeden jegomość. Gamitru — mucha nie śląda. Tylko dobre trunki zamawiał, a najlepiej to lubił francuski koniak. Jak przyprowadził jakąś cizję, to było wiadomo, że kapnie kelnerowi grubszą napiekę. I

jeszcze zarobi dodatkowo, bo zawsze kazał sobie podawać całą flaszkę, a wypijał połowę. To był z gestem gość. Gdzieś go później wyniosło. Dłuższy czas się nie pokazywał. Teraz znowu przychodzi. Marynarka na nim wytarta, buty nigdy nie czyszczone, wzrost od przedwczoraj. Piwo zamówi, czasem setkę i siedzi. Kelnerki gonia go ze swoich rewirów, bo potrafi innym z kieliszka wypić. I popatrz pan, taki był kulturalny, z fasonem człowiek. Specjalnie dla niego ten francuski koniak zamawiałam...

Przy stoliku, tuż koło baru usiadła para. On — gduś pod pięćdziesiątkę, sztywny, ona — nie więcej niż dwadzieścia. „Pewex” od stóp do głowy. Kelnerka przy nich skacze Sardynki w oliwie, do tego za chwilę barszcz i rumyszyk z pieczarkami oraz butelkę wiskiówki na rumie. Później kawa i szampan. Rachunek około trzech tysięcy

Teraz to jest panisko — powiada pani Todzia. A kiedyś, jak tu przychodził, to ledwie go było stać na setkę. Patrz pan, jak na tych frykach się dorobili! Dziewczyn zniżenia średnio, co kwartał. Każda porządnie ubiera, czasem stucze, ale niektóre baby to lubia. Nie dalej jak w tamtym tygodniu przy stoliku dał tej po buzi, że aż jej nosem pucilo. Na drugi dzień byli tu, tyle że ona miała nową kieckę.

Pani Todzia robi się bardziej czujna. Szczególnie nie spuszcza z oka dwóch stolików, co je obsługują małolaty. Tak mówi na kelnerki dopiero co po szkole.

— Wie pan, stara rutyniara to ma oczy dookoła głowy. Wszystkie zobaczy. Ale od tych młodych klientki mogą zwać. I skąd później takie dziewczę ma wziąć ten tysiąc czy dwa.

Akurat przy jednym stoliku zrobił się ruch. Panowie wstają, a ich kelner w kuchni. Pani Todzia wkracza natychmiast.

— Ej panowie! A kto za was będzie kasabubu? Głupio wyszło. Przepraszają. Trzeba sięgnąć po portfele. Rachunek około dwóch tysięcy.

Pani Todzia swoje wie. Cwierć wieku spędziła za barem. W lot odróżnił pihowca od kadrowca, człowieka z gotówką od takiego, który ma w kieszeni tylko podszewkę, nałogowca od smakosza. Jak powie: „Panu już dziś nie przysługuję”, to jest to wyrok ostateczny i bez zawieszania.

STANISŁAW FIEDOROWICZ

Zjazd „wampirów” w Padwie

Punktualnie o północy, gdy dawno wybiła 12 uderzeń, 33 świec oświetlała portret księcia Drakuli. W mrocznym przejściu korytarza śmierci, samotnie spacerująca młoda kobieta. Nagle z ciemności wyszła postać i wbiła ostrą kły w szyję ofiary.

Scena ta nie była sekwencją filmu, ale stanowiła to dla jednego z swoim rodziców zjazdu wielbicieli księcia Drakuli, który odbył się 24 sierpnia br. w budynku starodawnego rzeźni w Padwie.

Ruch „wampirów” rzeczywiście istnieje dziś we Włoszech, a zrodził się 1 lutego 1963 r. w Wenecji. Od tamtej pory na Półwyspie Apenińskim odbywają się regularne spotkania i wystawy poświęcone wampiryzmowi i jego wpływowi na rozwój

sztuk pięknych. Tegoroczny zjazd „wampirów” odbył się z inicjatywy departamentu kultury w Padwie.

Oprócz różnych pokazów i spektakli w rodzaju wyżej opisanego zaprezentowano również 180 eksponatów trwale związanych z wampiryzmem, jak chociażby kryształowe odpedzania krwioczerwych potworów, srebrne goździki przeznaczone do zadania ciosu w serce wampira, a także zabek



czosnku, który należy umieścić pod kółkiem, by monstrum nas nie niepokoiło.

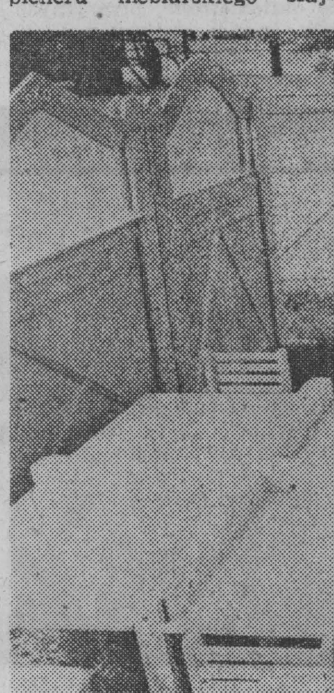
Zwiedzający otrzymali również wiele cennych rad, jak zachowywać się w obliczu wampira. Najpierw trzeba go zidentyfikować, a do tego potrzebna jest przyjaciółka-dziewica. Na wszelki wypadek musimy posiadać srebrną kulę, ale i ona okaże się bezskuteczna, jeśli się jej wcześniej nie poświęci. Trzeba też pamiętać, że tradycyjny krzyż nie skutkuje przeciw wampirzom z Turcji.

Najlepszym zaś sposobem pozbycia się potwora jest ucieczka mowy głowy i spalanie jego grobu.

Na koniec trzeba jeszcze wiedzieć, że najbardziej podatni na ataki wampirów są heretycy. (f)

budynku. WACŁAWA SERWAN zaprezentowała szatnię. JANINA JEZERSKA — stoliki i krzesła dla grupy młodzieży, które w sposób łatwy, przystępny i zajmujący umożliwiają prowadzenie zajęć dydaktycznych. Pomysł BOGUSŁAWA KOBIERSKIEGO sprowadził się do tego, by stół przeznaczony do posiłków dla dwóch grup wiekowych można było wykorzystać do zajęć zabawowo-dydaktycznych. BOŻENA KURZAWSKA-HOFFMANN zaprojektowała tzw. strefy wydzielone, co daje duże możliwości zarówno w wykorzystaniu ich do zabawy, jak też stworzeniu bardziej kameralnych warunków np. w dużej, przedszkolnej sali. Z wyposażeniem i snem wiąże się projekt takiego sprzętu, który byłby wygodny, a jednocześnie łatwo dający się sprzątać. LIDIA GOETZENDORF-GRABOWSKA stworzyła taką możliwość. Są to łóżeczka, z których po odpochnięciu można zrobić atrakcyjne sztalas.

Podnoszeniem kondycji i poprawianiu fizycznej dzieci zajęła się KRYSZYNA ZAWADZKA z Białegostoku (komisarz pleneru) w tym sensie, że zaprojektowała przestrzeny układ konstrukcyjny, który służyć może dzieciom zarówno do gimnastyki jak i zabawy



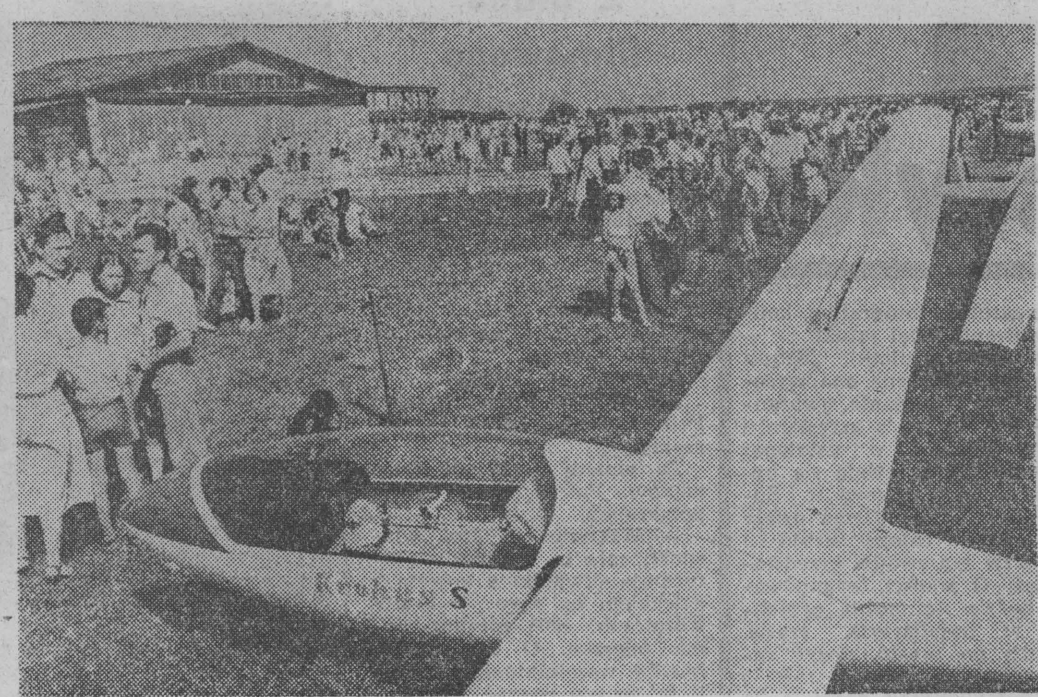
No i wreszcie — ubiory dla przedszkolaków, które powin-

nowka '85 ma szansę powodzenia. Nie można bowiem za przeczyć faktom nad wyraz oczywistym, nie zamykając przy tym dyskusji na temat estetyki, użyteczności i funkcjonalności powstałych projektów. Chodzi mianowicie o zafascynowanie tematem oraz emocjonalne podejście do wykonanych tu prac każdego

Wystawa poplenerowa wydała mi się być najlepszą ilustracją zespołowego wysiłku nie wykluczającego jed-



Marcinowi wyraźnie podoba się sprzęt dla przedszkoli, który powstał podczas pleneru meblarskiego Hajnówka '85.



Z Kroniki przedmieścia

Piękną imprezą lotniczą zorganizowaną w ubiegłą niedzielę przez Białostocki Aeroklub, Dowództwo Wojsk Lotniczych i Zespół Lotnictwa Sanitarnego uczczone kolejne Święto Lotnictwa.

Warto z tej okazji przypomnieć, jakie były początki organizacji, która na terenie kraju, a także i w Białymstoku, popularyzowała idee lotnictwa.

Był rok 1923. Niewielkie grono ludzi, którym na sercu leżał rozwój polskiego lotnictwa, rozumiejąc, że w ówczesnej sytuacji ekonomicznej kraju rozwój ten jest możliwy jedynie wtedy, kiedy troska o jego byt społecznie na barkach całego społeczeństwa stworzyło społeczna organizację paramilitarną — Ligę Obrony Powietrznej Państwa. W Warszawie przy ul. Mokotowskiej 39 m. 2 w dniu 12 lipca 1923 r. to jest 62 lata temu.

Wrony-bis na „Karolkowej Górze”

Nowo utworzona organizacja ją przyjęła na siebie trudny obowiązek nie tylko popularyzacji sportu lotniczego, ale także budowę lotnisk, akcję obrotową przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

W dniu 10 lutego 1927 r. nastąpiło połączenie LOPP z Towarzystwem Obrony Przeciwigazowej. W ten sposób powstała nowa organizacja — Liga Obrony Powietrznej i Przeciwigazowej zachowująca poprzedni skrót LOPP.

Komitet Wojewódzki Ligi Obrony Powietrznej Państwa powstał w Białymstoku w dniu 23 września 1924 r. z inicjatywy ówczesnego wojewody inż. Mariana Rembowski, który przez cztery lata pełnił funkcję prezesa organizacji. Po nim godność tę piastowali: wicewojewoda Z. Strzyński, wicewojewoda W. Tyszkowski, prezes Sądu Okręgowego Cezary Szyszko, sędzia Sądu Okręgowego Piotr Soltan, wojewoda Marian Zyndram-Kościałkowski, wojewoda Stanisław Michałowski, wicewojewoda Alfons Zgrzebiński i od 16 października 1936 r. aż do wybuchu II wojny światowej ppk Zygmunt Szafranowski.

W 1938 r. Liga na terenie województwa białostockiego liczyła 17.887 członków rzeczywistych i 21.105 wspierających. To właśnie w znacznej większości ze składów członkowskich zbudowano na obszarze 41 hektarów, lotnisko w Suwałkach. Roboty niwelacyjne i droga dojazdowa kosztowały około 60 tys. zł. Podobnie urządzono lotnisko w Białym Podlesku. Jedynie lotnisko w Łomży budowane było na terenie i z funduszy Zarządu Głównego LOPP.

Lata trzydzieste były okresem początków sportu szybowcowego na Białostocczyźnie. Niestety, skromne możliwości finansowe sprawiły, że z siedmiu kół szybowcowych istniejących w 1936 r. do 1938 r. przetrwały jedynie dwa. Jedno z nich istniało w Białymstoku i to dzięki ofiarności społeczeństwa. 21 obywateli — członków koła nr 31 LOPP zakupiło i ofiarowało białostockiemu kołu szybowcowemu — szybowiec Wrona-bis. Hojną w tym względzie okazali się także bracia Konopacy — właściciele fabryki dykty — ofiaro-

wując dwa szybowce Wrona-bis oraz materiał drzewny na budowę sześciu następnych. Tak więc w 1937 r. koło szybowcowe w Białymstoku posiadało zarejestrowane trzy szybowce Wrona-bis oraz potrzebny sprzęt szkoleniowy.

Wielkie powodzenie w latach trzydziestych miało także modelarstwo lotnicze. Prawie każda większa szkoła organizowała u siebie warsztat modelarski. Odczuwano jedynie brak instruktorów. Z tego też względu białostocki okręg LOPP zorganizował w 1937 r. kurs dla 28 nauczycieli instruktorów modelarstwa.

Duże zainteresowanie całego społeczeństwa wzbudzała wybudowana w 1937 r. wieża spadochronowa. Jej 26-metrowej wysokości konstrukcję wzniesiono w Parku Zwierzynieckim obok cmentarza wojskowego. Przy wieży zbudowano skocznik, a następnie zmontowano trapez treningowy. Na terenie tego obiektu zorganizowano dwa kursy. Jeden dla 24 osób. Tu, w Zwierzynku, a dni świąteczne odbywały się skoki propagandowe dla publiczności. Śmiechu i krzyku przy tym było co niemiara.

Na sport szybowcowy do 1937 r. wydano 35 tys. zł, a na spadochroniarstwo 20 tys. zł. Fundusze te pochodziły prawie w całości ze składek i darowizn.

W ramach Ligi działał także Komitet im. Żwirki i Wigury realizujący piękne hasło — „Młodzieży dajmy skrzydła”. W 1937 r. zorganizowano wielką akcję zbiórki funduszy na

zakup samolotów. Społeczeństwo Białostockie doceniło tę akcję. W obwodach powiatowych LOPP do 1 stycznia 1938 r. zebrano ponad 72 tys. zł. Za czwarte tych pieniędzy, a konkretnie za sumę 46 tys. zł, w lecie 1937 r. zakupiono dwa samoloty RWD-8.

19 września tegoż roku odbyła się uroczystość przekazania tych samolotów Aeroklubowi Gdańskiemu. Latali tam jako jednostki straży nad polskim Bałtykiem. Na kadłubach miały duży napis „Eskadra Ziemi Białostockiej”. Trafiły w dobre ręce. Już w końcu 1937 r. pilot jednego z naszych białostockich samolotów biorąc udział w rajdzie zdobył pierwszą nagrodę.

Niemiecka prasa w Gdańsku nie szczędziła w tym czasie uszczypliwych uwag pod adresem ofiarodawców i pilotów eksplatających samoloty.

Tak więc w przeciwnieństwie do obecnej sytuacji, przed wojną koszty sportu szybowcowego, spadochronowego, modelarstwa, ochrony przeciwlotniczej i gazowej, a także akcja im. Żwirki i Wigury (społeczeństwo całego Polski ufundowało 1.6 samolotów) pokrywane były ze składek członkowskich.

Pod względem ilości członków rywalizowały ze sobą wiełowie obwody Białegostoku i Łomży. Białystok miał 3786 członków rzeczywistych i 7287 popierających. Łomża miała tylko 965 członków rzeczywistych, ale za to aż 21.928 członków popierających. Swego rodzaju fenomenem była organizacja LOPP w Białowieży. Skupiała ona aż 23 proc. ogółu mieszkańców, wówczas kiedy w Białymstoku było ich zaledwie 4,5 proc.

I tak krystalizując z udość onionych mi przez pana Henryka Twardowskiego materiałów, przypominałem czytelnikom dawne dzieje białostockiego sportu lotniczego. Te wspomnienia ilustrowane akcentami z imprez na białostockim lotnisku prezentujemy obok.

EUGENIUSZ HRYNIEWICZ
Fot. ZDZISŁAW LENKIEWICZ

Zakęczyły Mercedesów

Wiktoria K. urodził się w biednej, wiełodziejnej rodzinie młynarza wiatrakowego w dużej wsi gminnej, mającej niedgdy prawa miejskie. Ojciec nie wylewał za kolier, więc mimo stałego źródła zarobku, rodzina często jadała z postem.

Od najmłodszych lat urzekała chłopca mechanika grabowych trybów i kręcące się skrzydło wiatraka. Był dzieckiem wyjątkowo odczuwającym biedę rodziny. Wyjątkowo też rozumiał innych. W szkole podstawowej kierownik zwrócił uwagę na wszechstronne uzdolnienia ucznia i nędgę panującą w jego domu. Ten niedostatek pogłębił się, gdy władze zakazały mielenia zboża w wiatrakach. Dzięki opiece kierownika szkoły, Wiktor został przyjęty do Technikum Mechanicznego, dostał miejsce w internacie i stypendium. Tak doszedł do matury.

W czasie, gdy wiatrakowi zakazano nabierać wiatru w skrzydła, rozwinał nagle swoje — ojciec w magicznym tempie zaczął rosnąć standard materialny rodziny. Stał się komfortowo wyposażony dom przy głównej ulicy. Zaczęły się odbywać huczne wesela dorastających dzieci. Tego nie mógł zapewnić mały skrawek piasku z ziemi przy wiatraku z trudem rodziców łącznie plony. Po wsi przekazywano (pod wielkim sekretem) z ust do ust informację, że nagle wzbogacił się, to wynik spienienia kosztowności zdeponowanych przed laty u młynarza przez ukrywanych Żydów, potem wymordowanych przez Niemców. Ale wkrótce tę wersję uznano za naiwną, wyszana z palca i rozpowszechniona przez młynarza dla odwrócenia uwagi od prawdy. Bo była i druga wersja, bardziej prozaiczna i wiarygodna — ojciec Wiktoru jakoby wszedł do gangu drzewnego, trudniącego się kradzieżą i przerobem drewna z okolicznych lasów.

Za tą drugą wersją mogło przemawiać i to, że stary wybudował tartak, który w lesnej okolicy miał duże powodzenie. W każdym razie po kilkuletnim okresie prosperity i wyprawieniu kilku wesel (w tym także i syna Wiktoru), młynarz nie wytrzymał maratonu narzuczonego przez wódkę i ubliżanie interesów, i zmarł.

Pozostał Wiktor z żoną i odziedziczonym po ojcu tartakiem. Wszystkie swoje siły skupił na rozwoju warsztatu pracy. Kiedy niedługo potem, wcześniej rano w Wielki Piątek, w tartaku zjawili się milicja i zabrala przywiezione nocą przez sołtysa do przetarcia cztery debny, w wiosce-mieście zaważało. Opowiadała ludzie, że sołtysa zamknięto za ten numer na rok. A Wiktor zamknął debny tym, który „szczękał” o konszachtach ze złodziejami leśnymi. Bo z tymi debnami, to rzekomo miała być prowokacja zaaranżowana przez Wiktoru i on właśnie miał „podkablować” sołtysa.

Wszyscy we wsi i okolicy mówili, że Wiktor złapał szczęście w garść. Zapewnił, że to byłby dobry byt, kwitujące przedsiębiorstwo i kochająca, spokojna żonka. Troje dzieci — dwóch synów i córka.

Alle ponoć apetyt rośnie w miarę jedzenia. I w tym musi być coś prawdy. Bo Wiktorowi zaczęło przewracać się w głowie. Ow przewrót polegał na pomyśle, aby wyjechać do Ameryki i zarobić trochę „złonych”. I tak zaczęła się piekliska, zameczająca męża przeżożonego wizją roztania. Ze dwa tygodnie przed stanem wojennym odjechała w siną dal.

Zza Atlantyku zaczęły nadchodzić listy chwalebne na jej ziem. Z Polski szły listy pełne wymówek i tekstów za najblizszym w życiu przyjaciелеm. Odpowiedzią były nadesłane za pośrednictwem „Pewexu” białe mercedesa, jakim zaczął jeździć Wiktor. Ale istniejące fakty określić jak złośliwość rzeczy martwych. W wiosce-mieście był i drugi „mercedes” identycznego koloru i typu. Należał do kierownika miejscowej leżnicy, pani Sabinę Z. Była to osoba nieco młodsza od Wiktoru, urodzona w sąsiedniej wiosce. Jej od najmłodszych lat życie także nie szczędziło niedostatków i przykrości. Osierocona w wieku przedszkolnym zaadoptowała wujek z ciotka — biedni wyrobniacy wiejscy, którym nie przelewało się.

Dziewczyna była zdolna i to wzbudziło zawist w miejscowym środowisku. Te zawist pogłębiał fakt, że wyróżniała się nie tylko zdolnościami, lecz i urodą. Wreszcie Sabinia zaślubiła człowieka w gminie dyplomem lekarza weterynarii. W miejscowej leżnicy było miejsce

stażysty, ale tutejsi gminni promieniści szybko, skutecznie zagroździł Sabinie drogę w tym kierunku. Rozpoczęła staż w sąsiedztwie i po kilku latach była cennym i szanowanym weterynarzem.

W tym czasie w leżnicy (w rodzinnej gminie) wybuchł skandal zawodowo-finansowy, wywołany przez jej kierownika. Skończyło się na karnym przeniesieniu do sąsiedniego województwa. Wtedy Sabinia zsięgnęła „z marszu” po wolne stanowisko. W ciągu dziesięciu dni leżnica w wiosce-mieście miała nowego szefa — w spódnicy. Nowa szefowa nie traciła energii i leżnica pod jej kierownictwem stała się powodem do dumy także i władz gminnych.

Dalej było podobnie, jak u Wiktoru. Nad Oceanem mijala się korespondencja, fruwały paczki. Przed leżnicą stanął mercedes tegoż typu i koloru, jak przed tartakiem.

We wsi zaczęły się komentarze na temat pary samochodów. W takiej sytuacji i ich właściciele zwrócili baczniejszą uwagę na siebie. Baczniejsza, bo podstawowa znajomość, ta codzienna, była przecież faktem od dawna. Rytm plotek w wiosce-mieście wyznaczał trasę przejazdu samochodów. Dwóch jednocześnie nigdy nie widziano w ruchu, a to też dawało do myślenia.

„Amerykanie” stawiali sprawy mgliste Sugerowali, że po nabyciu obywatelstwa amerykańskiego (5 lat?) ścigania współmałżonków do siebie. Żadne pewności nikt jednak nie miał. Tymczasem Wiktor i Sabinia, ludzie w pełni sił życiowych i energiczni coraz częściej zadawali sobie pytanie: kiedy można być szczęśliwym?

Wtedy akurat listonosz przyniósł dwa listy Pierwszego od Wiktorowej z Atlanty w stanie Georgia, drugi z Charleston w stanie Południowa Karolina od meza Sabiniana. Treść listów była identyczna jak kolor mercedesa — tylko słowa inaczej dobrane. Wynikało z nich, że wioskowy wywiad przesłał do USA szczegółowy raport z zachowania się względem siebie właścicieli mercedesów. Ze normalnie traktuje się to jako czarna niewiedza i powody wystarczające do zerwania małżeństwa. Autorzy poparli wywody tym iż widziało o zaściu, jakie wywarzyło się przy traku, gdzie pani doktor spynela trocinami w oczy jednej z kobiet naizakciele komentującej ich znajomość. Ze oni w USA też zawarli atrakcyjne znajomości i nie zamierzali wrócić do kraju. Tylko dotąd nie mieli odwagi tego wyznać.

Skutek był taki, że po kilku miesiącach obie pary uzyskały rozwód i wkrótce potem w gminnym urzędzie stanu cywilnego właściciele białych samochodów zawarli związek małżeński. Ale nie ten ślub był tematem najnowszych plotek w okolicy. Największa sensacja stała się zniknięcie mercedesa sprzed leżnicy. Kupiec znalazł się bardzo szybko, bez wprowadzania na giełde. Bo po cóż w dzisiejszych czasach dwa samochody w jednej rodzinie?

ROMAN PRUSKI

Banknoty dla niewidomych

Znacznym ułatwieniem dla ludzi niewidomych jest wprowadzenie pieniądza papierowego, którego wartość można poznać przy pomocy dotyku. W Holandii wypuszczono banknoty 10-guldenowe, które w jednym z rogów mają trzy wypukłe punkty. Planuje się emisję dalszych, o wyższej wartości. (jm)

Ufortyfikowana siedziba pani Thatcher

Pani premier Margaret Thatcher i jej mąż Denis zakupili za ok. 400 tys. funtów posiadłość w południowym Londynie, wyposażoną w nowoczesne urządzenia zabezpieczające, w tym zamknięty obwód telewizyjny. Utrzymany w stylu gregoriańskim dom otoczony jest rozległym ogrodem, w którym znajduje się basen do gry w golfa oraz miejsce, przewidziane na budowę sauny. Dotychczas państwo Thatcherowie zajmowali oficjalną siedzibę premierów w Brytanii przy Downing Str. (M.D.)

LUDEMILA CHALECKA-POŁOCKA

Zdjęcia: ZDZISŁAW ZAREMBA

